Nr. 51. We Lwowie dnia 18. Grudnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z niewydanych poezji Syrokomli.

TOAST.*)

Gdy ziemię naszych ojców na troje rozdarto,
Gdy Wisłę rozdzielono z Wilją i Wartą,
Nie mogły w bratniej uczcie jednej matki syny
Posypać sól Wieliczki na chleb Ukrainy, —
Nie mógł brzęknąć przymierzem wiernem, bratniem, starem
Puhar miodu Kruszwicy z litewskim puharem.

Jak więźnie, osadzeni każdy w innej celi,
Łzy nasze i krew naszą osobnośmy leli.
Przez nieugięte kraty i przez grube ściany,
Nawet jęk nie dochodził, gdy brat był smagany.
Co się działo przy Warcie, przy Wiśle, przy Niemnie,
To tylko po bólu serca czuliśmy wzajemnie,
Bo wiatr tylko lub obłok jaśniejszej postaci
Przynosił pozdrowienie od braci do braci.

I gdyby nie ta wiara wspólnego kościoła,
Co rozproszonych woła do jednego stoła,
Gdyby nie wspólna miłość, która nas kojarzy,
Jużby bracia braterskiej zapomnieli twarzy.
Lecz nadto silny węzeł dolę naszą splata:
Po miłości ku matce rozpozna brat brata,
Nie rozerwą przymierza, choć potrójne siły
Nieprzebytą granicę uczuciom stawiły.

Staję dziś między wami, jak pielgrzym szczęśliwy,
Pozdrawiam, leśny Litwin, wielkopolskie niwy.
Z rozczuleniem, jakiegom dawno nie doznawał,
Dziękuję Wam za chleba gościnnego kawał,

*) Wiersz niniejszy, znany ogólnie na Litwie z licznych odpisów, nie był tam nigdy ogłoszony drukiem, jako niecenzuralny. W ostatnich dopiero dniach L. W. Szczerbowicz przytoczył zeń ośm bezbarwniejszych wierszy w artykule pt. „Z dawnych wspomnień“, umieszczonym w „Tygodniku Pol.“ z 20. listopada br.

Za serce staropolskie, do podziału skore,
Za cześć niezasłużoną, którą od was biorę,
Dziękuję za wzruszenia, których mam tak wiele, —
Zaniosę je na Litwę i z bracią podzielę.

A gdy się Litwa dowie, żeśmy zawsze swoi,
Że jeden cel przed Wami i przed nami stoi,
Że w sercu mamy jedność, choć podział na karcie, —
Myśl w myśli, ramię znajdzie w ramieniu oparcie,
Odnowim zapomniane Jagiełłów przymierze
I odżyjem w miłości, nadziei i wierze.
Miły dziś na mnie dola obowiązek kładzie:
Pijąc dziękczynny toast na Waszej biesiadzie,
Niech uczucia mych ziomków przed Wami wypowiem,
Pijąc w imieniu Litwy Wielkopolski zdrowie.

1858 r. 3. czerwca w dzień Bożego ciała.

A. Świętochowski o listach wielkich romantyków.

Podając w numerze niniejszym niektóre z illustracji, zdobiących nowe wydanie listów Juljusza Słowackiego *), powtarzamy ogólną charakterystykę listów znakomitych poetów naszych z okresu Mickiewiczowskiego, skreśloną wymownem piórem A. Świętochowskiego, a przytoczoną w przedmowie Leopolda Méyeta do listów autora „Lilli Wenedy“.

„...Ludzie ci — pisze A. Świętochowski — mieli w całem swem życiu daleko wyższy nastrój, niż najznakomitsi przedstawiciele pokoleń obecnych. Ci ostatni mogą im nieraz dorównywać talentem, ale nie dorównywają im podniosłością ducha. Pomijam towianizm, który będąc obłędem, był według mnie, najwspanialszym obłędem w dziejach literatury powszechnej; lecz najpoufniejsza korespondencja między przyjaciółmi, którzy nigdy nie przypuszczali, że ona kiedykolwiek będzie drukowaną, ukazuje nam ludzi szczególnych, mających ciągle myśl zwróconą ku sprawom powszechnym. Ich dusze nie są w tych zwierzeniach maleńkimi zwierciadełkami, w których odbijają się tylko ich własne osoby, lecz ogromnemi i głębokiemi jeziorami, w których odbija się cały firmament.



Widok Krzemieńca, miejsca urodzenia J. Słowackiego — według obrazu współczesnego.

*) Patrz „Tydzień“ nr. 50.

Nawet wtedy, kiedy sobie donoszą o drobiazgach życia, o codziennych kłopotach i radościach, o szczęśliwych i nieszczęśliwych wypadkach losu, zawsze w szarą przędzę zwyczajności wplatają złote nici myśli i uczuć ogólnych. Posiadają oni ciągle czynny, czujny i wrażliwy zmysł społeczny, który im ani na chwilę nie pozwala zatopić wszechświata w swojem „ja". Nieraz majaczą, sentymentalizują, grają rolę mesjaszów, apostołów i poprawiaczów stworzenia, zasłaniają sobie oczy i zatykają uszy na rzeczywistość, zastępując ją wytworami fantazji, ale nawet w ich najcudowniejszych urojeniach świeci piękna gwiazda ideału. Kiedy najbardziej błądzą i mylą się, nie przestają być marzycielami czcigodnymi. Niemal z każdego ich listu widzisz, że to są ludzie niezwyczajni, tylko jakąś cząstką swej natury przyczepieni do powszedniości: stopy mają oparte na ziemi, ale głowy w chmurach. Muszą jeść, odziewać się, zarabiać na chleb i zaciągać długi, jak pospolici śmiertelnicy; ta troska wszakże nie wypełnia całego ich życia, nawet po za działalnością na widowni publicznej. Pracują nad oświeceniem, uszlachetnieniem i zbawieniem rodu człowieczego, jako powołani do tej misji, obdarzeni osobną łaską i mocą zesłańcy nieba, a nie jako urzędnicy w kancelarjach sztuki, dobra społecznego i moralności, nie jako rzemieślnicy, wyrabiający modne surduty i kapelusze dla ducha ludzkiego, nie jako fabrykanci smacznych dla niego używek. — Oni nie trudzą się według miary potrzeb swego żołądka, przy pracy nie ziewają i nie złorzeczą jej, w sercach ich bucha niegasnący zapał, który płomieniami obejmuje ciągle przedmioty swej miłości".



Grobowiec Juljusza Słowackiego na cmentarzu Montmaitre w Paryżu.

Galicja w świetle liczb.

Dokończenie.

Górnictwo i hutnictwo w Galicji wzrasta stopniowo wogóle i w poszczególnych gałęziach produkcji, tj. w kopalniach: soli, żelaza, ołowiu, rudy cynkowej, cynku, węgla brunatnego i czarnego, a przedewszystkiem — rozumie się — nafty. W szczegóły wchodzić nie będę; podam tylko procentowy stosunek do innych krajów austrjackich. Najwyższe procenta wykazują: sól (43·12), ruda cynkowa (42·54) i cynk (37·69), niższy procent wypada na ołów (13·07); następnie stosunek maleje znacznie więcej, mianowicie węgiel kamienny jeszcze 6·89%, żelazo lane już tylko 3·24%, a żelazo kute i węgiel brunatny nie dochodzą do 1%. Naftę należy wydzielić, bo — jak wiadomo — Galicja jest w Austrji jedynym krajem nafty. W roku 1896 było 167 przedsiębiorstw; ogólna wartość nafty wynosiła 4,806.715 zł. (olej) 1,939.809 zł. (wosk ziemny). Przeciętna liczba robotników, zajętych w górnictwie wynosi za lata 1885—94, 2948 mężczyzn i 444 kobiet; w hutnictwie 368 mężczyzn i 92 kobiet; przy nafcie 3071 mężczyzn i 89 kobiet, przy wosku ziemnym 5449 mężczyzn i 426 kobiet. Ogólna liczba robotni-

ków górniczych jest tedy za dziesi ciolecie przeciętnie 14.498 ludzi, tj. 10·74% w stosunku do innych krajów austrjackich. Liczba stowarzyszeń gwareckich i ich majątek, jest niestety, w degressji, co może tylko niekorzystnie wpłynąć na rozwój form zewnętrznych ruchu robotników górniczych, jeśli zważymy, że braki w organizacji ekonomicznej tego ruchu mogą prędzej lub później wyłonić z siebie wybuchowe, niezorganizowane żądania polityczne. Wytwarza się tą drogą ferment niekorzystny dla robotników i niekorzystniejszy dla przedsiębiorców, aniżeli zorganizowana walka społeczna.

W przemyśle widzimy ubytki w liczbie przedsiębiorstw przy równoczesnem wzroście ilościowym produkcji i liczby robotników; jestto przyczynek do historji · akkomulacji kapitałów przemysłowych w kraju.

W budżecie państwowym w stosunku do lat 1878—87 — przedstawia Galicja w latach 1888—97 zniżkę w wydatkach na administrację polityczną, szkoły średnie, akademje i specjalne zakłady naukowe w zakresie ministerstw spraw wewnętrznych i oświaty. Zwyżki nieznaczne w tym samym zakresie, prawie pokrywają się zniżkami, co dowodzi, że kraj w najważniejszych gałęziach swego życia społecznego nietylko nie nadużywa worka państwowego na cele społeczne, ale przeciwnie — widoczną jest w tym względzie stagnacja. Czy i o ile ta społeczna stagnacja wykazuje zwyżki, mające cechę ściśle tylko polityczną — tego już naturalnie żadna statystyka wykazać nie jest w możności; wolno jej jednak zapytać o zdanie socjologji, a ta powiada, że zwyżki w polityce są niczem, jeśli nie opierają się na plusach w całem życiu społecznem.

Dr. K. J. Gorzycki.

Syn Majora.

(Studjum z natury.)

Dokończenie.

Zdziwiło mnie to. — Dlaczego tak? — spytałam...

Spostrzegłam, jak złote brwi ściągnęły mu się ponuro. Milczał chwilę, a gdy nie nalegałam, począł mówić półgłosem, niechętnie, jakby mu trudno było o otwartość.

— Nie chciałbym spotkać kogo ze znajomych.. z nauczycieli lub kolegów. — I głos podnosząc, dorzucił z siłą: — Nie chcę widzieć nikogo! Wyrzucili mię ze szkoły, nie noszę munduru — nie chcę ich widzieć!

— Ale wszakże mundur włożysz jeszcze nie prędko, za pół roku zaledwo.

— To cóż? Pół roku nogą za próg nie ruszyłem, i drugie półrocze tak będzie.

— Istotnie, sześć miesięcy z domuś nie wychodził?

— Nie wychodziłem i nie wyjdę.

Niezachwiana stanowczość rysowała się na jego twarzy. Pomyślałam, nasz Rejtan za młodu musiał tak wyglądać.

Ale Józek o Rejtanie może nic dotąd nie słyszał, w domu jego o bohaterach kraju słychu nie było, w szkołach tembardziej.

Spoważniał, zasępił się; wspomnienie szkoły rozwiało ożywiony jego nastrój. Milczał, dopijając zwolna herbaty i widziałam, że łuki brwi wypogodzić się nie chcą.

— Czy tak bardzo szkoda ci szkoły? — rzekłam. — Za kilka miesięcy wszakże znowu wstąpisz do gimnazjum i to odrazu do szóstej.

— Kto wie, czy wstąpię.

— Jakto? — spytałam zdziwiona.

— Jasiowi dużo trzeba pieniędzy na uniwersytet, może ojciec odda mnie do szkół powiatowych, do Nieświeża, czy Słucka.

— Ale to być nie może! Jaś powinien wiedzieć, że i dla ciebie wychowanie jest potrzebne, rodzice również muszą...

Przerwał mnie.

— Jaś nie bardzo troszczy się o mnie, a mama zrobi zawsze to, czego Jaś zażąda. Ale to nic! — zawołał po chwili — dam sam sobie radę, byle mi teraz tylko trochę pomogli. Mnie nie to smuci.

— A cóż tam jeszcze?

— A tylko, widzi pani — zaczął, szukając odpowiednich wyrazów — widzi pani, mnie często na myśl przychodzi, czemu to wszystko źle jest na świecie! Czemu ludzie są tacy źli?

— O, gdzież tam źli! Jest bardzo dużo dobrych.

— Nie, pani, ja myślę, że niema dobrych; przynajmniej ja ich nie spotykałem. Mama lubi swoje pieski, ja także je lubię, chociaż tak nie dziwaczę się z niemi, jak mama. I nieraz mi się zdaje, że psy są lepsze od ludzi.

Patrzałam na to dziecko z coraz większem zdumieniem.

— Tak, pani, mówię prawdę. Bo gdyby pani wszystko wiedziała. Jak oni okropnie ze mną postępowali — ci nauczyciele, inspektor... Czem usilniej pracowałem, tem oni bardziej

zdeptać mnie chcieli; wszak ja rozumiałem, że robi się to umyślnie. Inspektor nie lubił mnie; on wszystkich Polaków znieść nie może. Nauczyciel matematyki chociaż zadowolony był ze mnie, ale widać nie mógł iść przeciw inspektorowi. A Niemiec? Prawda, że z początku nic nie rozumiałem, alem później zaczął dobrze pojmować i mógłbym robić postępy, gdyby choć trochę miał dla mnie życzliwości. Ale on mnie nienawidził. Jaki był zadowolony, jeśli mógł mnie zbić z tropu! i jak mu przyjemnie było stawiać olbrzymie dwóje w moich zeszytach. Po wakacjach nie chciał także mnie przyjąć, chociaż nauczyłem się dużo przez lato. Chciał mnie zło wyrządzić, nic więcej. Ludzie mają przyjemność szkodzić drugim, deptać, odbierać wszelką nadzieję. Przyglądam się nieraz ludziom i myślę, że są jak dzikie zwierzęta: czyhają jedni na drugich, aby się pożreć. O niczem więcej nawet nie myślą. Straszny jest świat. I po co tu żyć? Gdy zastanawiam się nad tem wszystkiem, żałuję, żem się urodził.

Mówił w zamyśleniu, jak gdyby tylko głośno myślał, a w głosie jego młodzieńczym głucho brzmiała jakaś tłumiona nuta, jakiś złamany dźwięk, co w ziemię idzie.

— Jestto zupełna nieznajomość świata, — zaprzeczyłam, starając się nadać słowom, jak największą szczerość. — Alboż to niema ludzi, którzy poświęcają myśli swoje i prace szlachetnym celom, nauce, dobru społecznemu, krajowi! Czyż niema i takich, co nawet nie wahają się życie stawić na szali, gdy idzie o zwycięstwo wielkiej, umiłowanej idei?

— Ja takich nie widziałem — odrzekł zamyślony.

— Bo ich tu widzieć nie możesz; jest niewielu, albo się kryją. Alboż będąc Polakiem, nie wiesz, że kryć się tu musimy ze wszelkiem szlachetniejszem uczuciem i strzedz się jak ognia wszelkiego szlachetnego czynu? Albo nie wiesz, że nam nie wolno działać, ani mówić, ani myśleć nawet swobodnie? Lecz są strony szczęśliwsze; już w Królestwie nieco jest lepiej, a w Galicji tembardziej.

I zaczęłam mu opowiadać wszystko — może bezładnie, może za żywo — nie licząc się, że słucha mię dziecko, byle tylko stłumić ten jęk młodzieńczych ust, tę gorycz starca, gnijącą ropą sączącą się z szesnastoletniego serca. Opowiadałam, czem żyje polski szermierz w Galicji, jakie światła ma przed sobą, jaka nadzieja w nim tli. Mówiłam o skrzętnej pracy zbiorowej, o czynach i słowach wydajnych jak czyn, o podnoszącej się od ziemi warstwie białej sukmany i o tych ramionach silnych — błogosławionych ramionach — co kładą się pod tę warstwę, aby ją zdźwignąć.

Słuchał mnie i widziałam, jak oczy roztwierają się mu coraz szerzej, jak rozchylają się nawet i usta, a po policzkach i czole raz poraz przebiegają rumieńce, płomienne i nagłe, jak odblask niewidzialnego ognia.

Wieczór uchodził niepostrzeżenie. Jęk wiatru ucichł na dworze; obok nas, z zaokna biło łagodne światło śniegów, zbłękitnionych zimowym księżycem bez chmurki. Z pochylonej ku mnie twarzy młodzieńca szła taka sama jasność, rzewniejsza tylko i uroczystsza.

— Więc rzeczywiście ludzie gdzieś pracują, myślą i żyją dla dobra? dla idei? — powtarzał niby w śnie jakim pięknym.— Jak jabym chciał to widzieć na własne oczy, posłyszeć te mowy chociaż raz jeden...

— Dlaczego tylko widzieć i słyszeć? Alboż gdy staniesz się dorosłym człowiekiem, nie przystąpisz także do tej pracy, i całą siłą ramienia i całą duszą?

Nie odpowiedział. Wpatrzył się tylko we mnie rozszerzonemi wielkiemi oczyma, tym wzrokiem, co patrzy w przyszłość swoją i w głąb własnego ducha i w jakieś gwiazdy niewidzialne, na otchłaniach idei płonące. A potem rozchyliły mu się usta i wypłynęło z nich jedno ciche, głębokie: ach! westchnienie piersi, którą jakiś ogromny przypływ rozsadza, w której jakiś ptak skrzydła olbrzymie rozwija i porwać się ma do lotu.

Milczeliśmy długą chwilę; a potem zaprzątnięta wciąż moją zagadką, spytałam go, skąd wzięła się w nim pamięć na ojczyste rzeczy i zamiłowanie w nich: wszak w domu nie spotykał się z niczem podobnem?

Ożywił się nagle.

— Nie mówię o tem nikomu, ale pani powiem. Władek — pani wie, ten kolega Jasia, co do nas tak często przychodzi? — to on. Od pierwszej klasy kolegują z Jasiem i byli pierwiej przyjaciółmi; ale teraz nie tak bardzo. Gdy niema nikogo, rozmawiamy z nim zawsze o takich rzeczach. On daje mi książki; czasem chodziliśmy za miasto na przechadzkę i on mi wtedy dużo rzeczy opowiadał. Jeśli jesteśmy obydwa na wakacjach w P., to zawsze razem do wsi chodzimy. Przywozi z sobą książki, które chłopom, a najczęściej szlachcie w zaściankach rozdaje. Tam go wszyscy bardzo kochają. Gdyby pani wiedziała, jaki on rozumny i dobry! Bardzo go lubię; nikogo tak nie kocham jak jego. On także mnie lubi.

— Wiem bardzo dobrze o Władku i jest to rzecz zupełnie naturalna, że się tak kochacie. Będzie z was niedługo dwoje dobrych szermierzy dla naszej sprawy.

Uśmiechnął się swoim miłym uśmiechem; lecz wkrótce zmącił mu się wzrok i twarz powlekła się rzewną tęsknotą...

— Niczego już nie chciałbym więcej — rzekł — tylko dożyć tej chwili, aby Polska powstała z niewoli.

Z tem słowem rozstaliśmy się. Odtąd nie widziałam Józka; przelotnie tylko raz jeden w

chwili, gdy przed odjazdem żegnałam matkę jego w ich domu, ale to się nie liczy, tu Józek był innym. I teraz czekam tylko, aż mię wieść dobiegnie: w takiej a takiej sprawiej zamieszany J. Z. został deportowany, uwięziony, lub jak ów młodzian, po którym matka z żalu umarła, porwany z domu rodzinnego i zaginiony bez wieści. Tak kończą, lub to przebywają ci z naszej młodzieży, których serca szlachetną miłością ojczyzny choćby raz jeden uderzą.

Kładą się po zagonie zbyt młodo użęte pokosy; mrozem przycięte, wichrem połamane, marnieją zawcześnie bujne w zaraniu posiewy, lecz już ręka niestrudzona siewcy nowe ziarna po ojczystej ziemi rozrzuca i już nowe siły wschodzą, już nowe kiełki w młody kłos wybiegają.

O, wielki siewco, o, duchu naszego narodu! Chodzisz ty po łanach zdeptanej najazdem, chwastami porosłej ojcowizny swojej — idziesz mocarzu, w łachmanach krwią ociekłych, wichrem rozmiotanych, idziesz bez książęcej korony na włosach siwych, które wiatr szarpie i poniewiera słota; oślepłe oczy wiodą cię błędnie po manowcach, po skrajach przepaści, po wydmach piaszczystych i już nie berła władcy, nie miecza Pogoni, a kostura pątniczego, któryby kroki twoje wspierał, brak ci w osłabłej dłoni.

A jednak — nie giniesz!

Po zgorzeliskach, po pustkach, po zapuszczonych ugorach, dzień i noc kroczysz niestrudzonemi stopami i pracowitą ręką rzucasz posiew ziarn złotych. I oto wschodzą...

Na oślep rzucane, na nieuprawnej ziemi, wśród zielska dzikiego, wschodzi to złoto twoich ziarn, wyrasta w źdźbła zdrowe i dzwoni młodym kłosem w powietrzu.

I zmyli się łatwo czujne oko straży, i nie wytępi ich nigdy ręka niszczyciela, bo posiew ziarn trwa bez końca, bo idzie z zasobów niewyczerpanych — z głębiny naszych serc, ze skarbca bolów naszych. Trwa ciągle, i trwać będzie ciągle; zanim nie wejdzie ów dzień, w którym słońce naszej ziemi południa swego dosięgnie, stanie w zenicie — i nie zgaśnie.

Wanda Dalecka.

16)

Z A J Ą C.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Spał może godzinę, może i nieco dłużej, a zbudziło go niespokojne, wrzaskliwe pierzchanie sójek. Otwarł trzeszcze i widział w oddaleniu na murawie dwie wiewiórki, które, wydając odgłosy trwogi: „guk, guk“, z nadzwyczajnym pospiechem rzuciły się na drzewa i pomknęły ku szczytom. Jest więc coś takiego, czego on w chorobie swej widać nie przeczuwa dzisiaj? Baczność i baczność! Nasłuchywał, to tu, to tam zwracał uszy. Gdzieś w oddaleniu rozlegał się szum stłumiony, jakiś gwar, stuk, szelest... Oho, wyraźnie słychać: „hu, ha, hop!“ I świstanie, gwizdanie, i walenie pałkami w pnie drzew, i uderzanie po liściastych krzakach. Wrzawa co chwila wyraźniejszą się staje, i oczywiście, w kierunku kotliny postępuje. Ptastwo pierzcha nadzwyczajnie, wydaje odgłosy trwogi. Musi już być źle, skoro dzięcioł zaniechał kucia dziobem, przechylił głowę, posłuchał, krzyknął na trwogę głosem urywanym i szparko frunął dalej. O, z pewnością, jest źle, niebezpiecznie, jeżeli nawet ten pracowity kowal odbiega od swej roboty!

Pod pagórkiem, wśród starych, omszonych jodeł, sosen, jakiś szarak pomyka dobrym zajęczym truchtem, a coraz przystaje, bacznie kotłuje... Oj, kręci się biedak, nie wie, co robić z sobą! Z miny jego widać, że jest w rzetelnym strachu. Cała waga uciekającej rzeszy zwierzęcej pada na porębę... Gwałtu, jakież przeraźliwe, dzikie okrzyki wstrząsnęły całym borem! Nasz zając nie może już dłużej dotrzymywać wobec tego, co się dzieje. Opuścił wygodną kotlinę, zbiegł żwawo z górki, kwapi się i on ku porębie; niktby nie pomyślał, że to zwierzę jest chore, postrzelone.

Firankę poręby stanowi las stary, rzadki, w którym wszystko zdaleka widać, jak przy latarni. Tutaj wzdłuż porozstawiani przez Malwę strzelcy czatują po za krzakami, pniami, gotowi strzelać do napędzanej zwierzyny. Właśnie nasz szarak przystanął na chwilę, kiedy od strony zdradliwej linji zagrzmiały wystrzały, od których padły zające, usiłujące uciec najpierwsze. Źle robi, kto się zbyt śpieszy. Cóż teraz począć?... Tu przeraźliwie wrzeszczą i nachodzą, a tam jest cicho, spokojnie; ale śmierć stoi na czatach. Oo! znowu strzelają! Zając się już dłużej nie namyślał i całym pędem skoków pognał przez gąszcze zagajnika na linję krzykliwej naganki. Bez namysłu teraz pędził na ukos i już miał skoczyć w ową otchłań piekielnych wrzasków, kiedy mimochodem spostrzegł, że w odległości jakich pięćdziesięciu kroków lis Kita wierci się bardzo niespokojnie. Ta okliczność zmnożyła siłę rozpędową zająca. Wpadł pomiędzy dwóch wyrostków, którzy z kijami co tchu poskoczyli do niego i teraz dopiero podnieśli gwałt straszliwy, wrzeszcząc na całe gardło: „Oha, oha!“ Nie pozwolił się spłoszyć i wybiegł po za naganke. Już był daleko w polu, kiedy przystanął na wzgórku, spojrzał w kierunku lasu i widział, że lis Kita wynosi się z boru prawie po jego śladach.

Gdyby zającom za dzielność wyznaczano nagrody, to nasz szarak dnia tego zasłużyłby na złote rycerskie ostrogi. Był ranny, chory, a nie dał się pokonać! Ale cóż może obchodzić dzielność zajęcza tych, którzy dopiero na półmisku oceniają, czy szarak jest smaczny?... Że go tam potem w polu zoczył kundel chłopski i, ujadając zawzięcie, ścigał przez parę minut, nie należy to już tak dalece do kroniki wypadków roku strasznego, a przeto nie daje się zapisać na karbach sławy bezuchego zająca. Słusznie, czy niesłusznie, milczy się o takim, któremu natura dała nogi za oręż, a kundle go zjadły. Któżby chciał sławić filozofa, pokonanego rozumowaniem przez osła? Co bywa.

Do zimy wyzdrowiał szarak, zabliźniły mu się rany, zadane przez Teterę; ale nie na tem koniec ciężkich przygód roku strasznego.

* * *

Wilki żarłoczne, lisy chytre, psy gorliwe, jastrzębie okrutne, wrony i sroki zgłodniałe czyhają na zgubę ciągle tylko zmykającego zająca. Chciwość i żarłoczność są czynne, pracowite, nie znają wytchnienia. Oto jedni prześladowcy znużeni spać idą, a już drudzy ze snu się budzą, wstają raźni i prześladowczą pracę śpiących z zapałem biorą na siebie. Niema tam nigdy zawieszenia broni, gdzie z jednej strony są liczni nieprzyjaciele, a druga strona wojująca tylko ucieka!

Ale dopiero polowanie „do kotła" jest prawdziwie zabójcze dla każdego zająca. Tak się zwie oblężenie i opasanie wokoło pewnej ilości szaraków, z których każdy, co się na zewnątrz wychyli, natychmiast w łeb bierze. Najgłówniejszy to wynalazek niemiecki, z wielkiem powodzeniem stosowany przez krzyżaków, kiedy szło o nawrócenie do wiary chrześcijańskiej pogan pruskich, kryjących się po borach ze swemi tajemnicami. Hasło brzmiało: „Zwężać, zacieśniać, dopóki ofiara sama nie przyjdzie pod obuch!"

Chłopi z bystrym wzrokiem, a twardem sercem, myśliwi wytrawni, uzbrojeni w nabite strzelby, ustawiają się w obręcz i miarowym krokiem suną naprzód tak, że owa żywa obręcz coraz bardziej szczupleje, staje się węższą.

Obręcz żywa wygląda jak wąż, który utworzył koło, wziął ogon w paszczę i wsuwa go w siebie nieustannie, zacieśniając owo koło. Można oszaleć w takiem zamknięciu, miarkując, co się dzieje. Napór strzelców popycha zająca ku śodkowi, strach ciągle wzrasta, przeczucie złowrogie szepce: „Tam cię zguba czeka!" Prześladowcy następują, idą jak woda, obręcz stała się obrączką... „Gwałtu, jakże tu ciasno!"

Jest w Morzelanach porębisko, zwane tu „zielanki", gdzie po wyrąbanym lesie zostały pnie tylko, a z pni puściły się młode odrośla i kępkami rozrzuconemi zakrzewiły w części tę przestrzeń, świadcząc, że aby wytępić życie, trzeba je do krzty wykorzenić, a ziemię zaorać i obsiać ziarnami innego życia. W środku porębiska wznosił się stos suchych gałęzi, chróstu, co Malwa „suszem" nazywał.

Dziś jest tu polowanie do „kotła"; myśliwi obrali sobie ową kupę suszu za widomy środek swej obręczy i krokiem równomiernym zbliżali się ku niej, zgarniając, jakby do matni, zwierzynę, która podówczas przebywała w krzakach porębiska. Strzelec Malwa i teraz prowadził, ustawił myśliwych.

Razem z innymi szarakami oskrzydlono tu także naszego bezuchego i pędzono do kotła.

Ostatnia chwila nadeszła, kiedy osaczonym i coraz bardziej napieranym zającom nie pozostawało już nic innego, tylko rzucać się na łańcuch myśliwych, pod nóż iść z rozpaczy. Jeden jakiś niecierpliwszy, w gorącej wodzie kąpany, wyrwał się właśnie pierwszy, uderzył z rozpędem na linję i, zaledwie ją przekroczył padł, rażony strzałem. „Pa-af! Pa-af!„ zagrzmiało, a kot wrzasnął płaczem nowonarodzonego dziecka i wśród dziwnych podrygów, mąk konania, zajęcza dusza jego wyzwalała się z ciała.

Przeciągłem echem grzmotu rozległ się w przyległym boru huk dwóch strzałów, jak straszna groźba zniszczenia, poniósł trwogę mieszkańcom leśnym i zapewne niejednego postawił na nogi.

Aleź i w kotle zrobił się jakiś zamęt, ruch nadzwyczajny! Osaczone zające wyskakiwały ponad krzakami, jak gdyby usiłowały zobaczyć, co się wokoło nich dzieje, a widoczna we środku kupa suszu zatrzęsła się z trzaskiem i runęła z łomotem. Przez krótką chwilę dawało się słyszeć głuche dudnienie, szum krzaków, co sprawiało wrażenie trzęsienia ziemi. Jednakże prędzej, niż się to daje opowiedzieć, olbrzymi odyniec wyskoczył w susach nadzwyczajnych, spojrzał na strzelców, zaledwie przystając, fuknął straszliwie „uf!" i rzucił się na obręcz myśliwską.

Zdumieni tem niespodzianem zjawiskiem strzelcy szeroko się rozstąpili na prawo i na lewo, aby dać przejście królowi boru, który ze szczeciną zjeżoną na grzbiecie, groźno połyskując białemi kłami, sadził w potężnych skokach.

Dopiero kiedy dzik już wypadł za łańcuch myśliwski, rzęsiste strzały sypnęły się na jego tyły i boki. Pod gradem śrótu zajęczego żachnął się gniewnie, zarył ziemię kłami, podskoczył tak, że z pod racic jego omszona darnina furknęła w powietrzu i pognał do boru.

Tu odyniec na strzelców szyje, strzały grzmią za nim i cała uwaga myśliwych na niego się zwraca, a nasz szarak bezuchy za dzikiem prawie w trop się wynosi, pomyka za obławę i tak pędzi, jak gdyby szedł z dzikiem na wyścig.

Jeden Malwa go tam tylko zauważył, uśmiechnął się, a mimowolnie tak sięgnął do czapki, jakby znajomego chciał powitać. „A to ci się, Panie święty, zajączek na Morzelanach uchował, na gracza wyszedł! Co go spotkam, zawsze zmyka i cało... No, no!“

Zapytują strzelca, skąd się tu wziął ten odyniec.

— Ha, łazęga taki, uprzykrzyło mu się życie w wielkiej puszczy i idzie sobie od boru do boru, śmierci szuka.

Dzik przybył do Morzelan, okopał się pod kupą suszu, a kiedy pierwsze strzały huknęły, powstał i bezuchego szaraka z kotła wybawił. „Pan Jezus opiekuje się najmniejszym robaczkiem, mógł sobie tego zajączka upodobać i dziś tak akurat zrządził“ — myślał sobie w duszy Malwa.

(Dokończenie nastąpi.)

Z pism i książek.

Tygodnik Illustrowany przynosi w jednym z ostatnich numerów portret M. Frenkla w roli Podczaszyca z „Hrabiny“ Moniuszki, oraz dwa piękne portrety Salomei Kruszelnickiej w roli tytułowej.

O sympatycznej artystce niegdyś opery lwowskiej, znakomity krytyk warszawski, W. Bogusławski, tak pisze w sprawozdaniu z pierwszego przedst. „Hrabiny“:

„Panna Kruszelnicka nadaje tytułowej heroinie zupełnie odrębną fizjonomję, świadczącą, jak wszechstronnym jest talent prymadonny. Wcielona pieśń ludowa w Halce, z całą głębią tęsknego jej liryzmu, z całą poetyczną zadumą góralskiego typu, później demoniczne uosobienie w Balladynie gminnej lady Mackbet z legendową jej grozą, — jest w „Hrabinie“ p. Kruszelnicka pełną dystynkcji damą z początku bieżącego stulecia. Pierzchła gdzieś lękliwość chłopki, zatrzymującej się nieśmiało u progu domu p. Stolnika; znikła z czoła tragiczna zmarszczka, zgasły złowrogie błyski w oczach dziewczyny, dybiącej na życie siostry; na ustach zaigrał uśmiech pełen wdzięku, ruchy nabrały miękkości i gracji, głos złagodniał, utaił dramatyczne akcenty, i płocha hrabina czaruje nie tylko na scenie towarzystwo z „pod Blachy“. — w widowni zdumiewa lekkością i wdziękiem interpretacji, uwydatniającej typową charakterystykę postaci, której nikłe rysy ożywił Moniuszko wyrazem wytworności. Rzecz naturalna, że najgorętsze oklaski zdobywa artystka tam, gdzie temperament jej dramatyczny może choć na chwilę wziąść górę — w słynnej arji 3-go aktu, wybuchającej namiętnemi porywami“.

Ateneum umieszcza w listopadowym zeszycie nowelę p. Zamorskiego p. t. „Deputowany“, którą autor osnuł na tle stosunków galicyjskich.

Revue des Revues, dwutygodnik paryski, ożywił treść grudniowego numeru szkicem K. Waliszewskiego, p. t. „Niemcy i Polacy“.

Włoska *Illustrazione popolare* podała nowelę Sienkiewicza w dokładnem przekładzie Umberta Norsa.

Paryski *Bulletin Polonais* pisze: „Otrzymaliśmy dziennik medjolański „La Sera“, w którym znajduje się artykuł p. t. „Jak Włochów sądzą w Warszawie“. Autor tego artykułu żali się bardzo słusznie, że jedna z gazet warszawskich czyni odpowiedzialną całą szkołę liberalną włoską za zbrodnię Luccheniego. Dzienniki włoskie dziwią się tej niezasłużonej zniewadze, tem bardziej, że wyrządzoną ona została tym, którzy zachowują zawsze dla Polaków sympatje najszczersze“.

M. Ostrogorski. Kobieta a prawo publiczne. Przekład Z. Poznańskiego. Warszawa 1898.

Książka Ostrogorskiego ma charakter przeważnie informacyjny. Autor nie roztrząsa t. zw. praw kobiety ze stanowiska teoretycznego, ale w swem studjum z dziedziny historji i ustawodawstwa porównawczego, przedstawił położenie kobiety w sferze prawa publicznego w różnych krajach i w rozwoju historycznym, jej walki o praw tych rozszerzenie, klęski i zwycięstwa.

Zaczynając od udziału i praw kobiety we władzy najwyższej indywidualnej, t. j. jej praw do tronu i regencji, przechodzi następnie autor do praw niewiasty w sferze władzy najwyższej zbiorowej, czyli t. zw. politycznych praw kobiety. W dalszym ciągu rozpatruje autor udział kobiet w samorządzie lokalnym, dostęp do urzędów i funkcji publicznych, wreszcie prawa publiczne indywidualne, t. j. prawo petycjonowania, prawo zgromadzeń i stowarzyszeń, wolność prasy i studjów uniwersyteckich, wreszcie wolność profesji, — a wszystko ze stanowiska równouprawnienia kobiety.

Książka trzymana jest w tonie ściśle naukowym, a jednak pisana z właściwą francuskim dziełom jasnością i przejrzystością, a przez to jest przystępną i dla czytelnika, nie posiadającego specjalnego prawniczego wykształcenia, tembardziej, iż autor, omawiając udział, jaki ustawodawstwo przyznaje kobiecie w życiu politycznem i w samorządzie lokalnym w rozmaitych krajach, daje zarazem niezbędne wskazówki, dotyczące charakteru i organizacji każdej instytucji politycznej i administracyjnej.

Wobec kwestji politycznego równouprawnienia kobiet, zachowuje się autor z pewną rezerwą, ale za to stanowczo domaga się zadośćuczynienia tym żądaniom niewiast, których treścią jest prawo swobodnego rozwoju w sferze socjalnej, nie wkraczającej w dziedzinę stosunków publiczno-prawnych.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.